

№ 13. Rok XVII,

Dnia 15 (27) Marca 1897 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Nagle usłyszał tuż nad sobą, łopot olbrzymich skrzydeł króla ptaków

SASANKI.

Jasny kwiecień nad gajem,
Ponad łąką, ruczajem,
A pod leśną gęstwiną
Wschodzą barwą już siną
Boże dwonki — sasanki,
Wiejskiej dziatwy kochanki.

W lot frunęły ptaszęta,
Budzą nagle dziewczęta:
„Wiosna! czy to nie wiecie,
Że są kwiatki na świecie?
Oj, sasanki, sasanki!
Dalej! róbcie wiązanki!”

A więc biegną ze śmiechem,
Las dalekiem brzmi echem,
Dźwięczy piosnka radosna:
„Powróciła nam wiosna!
Oj, sasanki, sasanki!
Wiążmy, plećmy z nich wianki!”

Poszły... znowu milczenie,
Mroczne snują się cienie...
Zwolna we mchu osłone,
Chyląc pąki zielone,
Śnią o słońcu sasanki,
Co ogrzewa im ranki.

Aż, gdy raptem na wieży,
Dzwon kościelny uderzy,
W noc Chrystusa wydzwania
Wielki dzień Zmartwychwstania,
Wraz się chwieją sasanki,
Te anielskie zesłanki.

I tak dzwonią w swej ciszy,
Że Zbawiciel to słyszy,
Błogosławi krainę,
Gdzie dzwoneczki te sine...
Oj, sasanki, sasanki!
Dzwońcież, nieba wybranki!

E. M.

ŻYCIE W OCEANIE.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Z kształtu skorupy podobnym do ostrygi jest *perłopław* (*fig. 3 A i B*) żyjący prawie we wszystkich morzach ciepłych, ale przeważnie w indyjskim i perskim. Perły jego są niczem innem, jeno płynem wapiennym, który wypływa ze skóry i twardnieje tak, jak skorupa. Łatwo jest wytłumaczyć powstawanie pereł. Przypuśćmy, że między skorupą a skórą mięczaka dostało się ziarno piasku i drażni jego skórę; wskutek tego podrażnienia wypływa natychmiast ze skóry kropla płynu, otacza ziarno a następnie twardnieje. Powstaje z tego *perła*, mieniająca się tęczowymi barwami.

Perły cenią się, jak wiemy, bardzo drogo, a to dlatego, że poszukiwanie ich wymaga wiele czasu i połączone bywa z niebezpieczeństwem dla nurków, którzy perły zbierają. Perłopław żyje na głębokości 10 do 20 metrów, przyrośnięty do dna, tak jak ostryga. Poławiacze pereł, gdy mają rozpocząć

połów, dzielą się zwykle na dwa oddziały: jedni siedzą w łodzi i wyciągają z morza drugich t. j. nurków. W łodzi znajduje się szeroki kamień z przywiązany do niego sznurem; gdy nurek ma spuścić się na dno morza, to zwykle zdejmując z siebie odzież, staje na kamień, trzyma się za sznur, a wzięwszy koszyczek do ręki, daje znak towarzyszą, aby go spuszczone. Natychmiast też spuszcza go wraz z kamieniem, który szybko ciągnie nurka na dno morza. Jeżeli perłopław są w tem miejscu obfite, to nurek pospiesznie odrywa 8 do 10 sztuk na raz, wkłada je do koszyczka i natychmiast ciągnie za sznur dając tem znak, aby go wyciągnięto, co też czynią z wielką skwapliwością, gdyż nurek może zostać pod wodą zaledwo 12 do 14 sekund. Przez ten czas nie oddycha on wcale, aby woda nie dostała się do płuc, zatyka nawet nozdrza, aby mógł dłużej oddech zatrzymać. Nurek, wypłynąwszy na powierzchnię, odpoczywa przez jakie trzy minuty i znowu wskakuje do wody. Jestto więc praca ciężka i połączona z wielu niebezpieczeństwami, jak np. spotkanie się z żarłaczem; wróciwszy na statek, nurkowie są tak zmęczeni, że często z uszu, nosa i ust krew się pokazuje. Prócz tego nie każdy perłopław zawiera w sobie perły; nieraz praca kilkodzienna nie dostarcza ani jednej perły, ale za to jeden perłopław wynagrodzić może wszystkie trudy poprzednie, gdy zawiera kilkadziesiąt ziarn drogocennych; znajdowano 60 do 150 pereł w jednym mięczaku.

Mięczakiem równie znanym jak ostryga, jest *Omułek* (*Mytilus edulis*) fig. 4, jadany w tak wielkiej ilości, iż w krajach nadmorskich, jak we Francji i Belgii, rozwożą go codziennie w workach na wózkach. Omułek żyje również przyczepiony do skał i słupów, lecz inaczej niż ostryga; trzyma się on za pomocą włókien mocnych, jedwabistych, zwanych *bisiorom*. Bisior powstaje z płynu, który zastyga potem, jako włókno; wycieka zaś ów płyn z wielkiego mięśnia na brzuchu, mającego kształt toporka i nazwanego *nogą* dlatego, że za pomocą tego mięśnia mięczaki mogą pełzać, skakać, kręcić się i t. p. ruchy wykonywać. Ostryga, prowadząca żywot osiadły, nogi nie posiada.

Za pomocą bisioru liczne mięczaki przyczepiają się do rozmaitych przedmiotów w morzu. Co jest niezmiernie ciekawe, to że omułek, chociaż mocno przytwierdzony, może jednak zmieniać miejsce w sposób następujący: mięsień, z którego bisior wypływa kurczy się mocno i rozdziera włókna żyłne, wówczas omułek wypuszcza na przedzie nowe włókna, przyczepia się, dawne znowu odrywa i tak dalej. Posuwa się on tym sposobem bardzo wolno, ale ten ruch mu wystarcza.

Omułki hodują się tak jak ostrygi w *parkach*: w tym celu stawiają w morzu słupy z plecionką, a omułki gęsto osadzają się na plecionce; (patrz fig. 5). Prócz tego osiadają gromadami na wszystkich skałach nadbrzeżnych, które morze zalewa w czasie przypływu.

Otworzywszy skorupę omułka, często znaleźć w niej można małego kraba, zwanego (*Pinnotheres*), który obrał w niej mieszkanie; nie jest to pasożyt, lecz lokator, żyjący w przyjaźni z omułkiem, a za mieszkanie płaci w ten sposób, że dzieli się z omułkiem zdobyczą, którą upoluje. Ów krab, choć małeńki, jest odważnym i zręcznym myśliwym: unie on zawsze upatrzeć dobrą chwilę, aby znienacka uderzyć na zdobycz, z którą wraca do swego żywego domku.

Ponieważ mięczaki dwuskorupne są bezbronne, chowają się przeto do rozmaitych kryjówek, jako to: zagrzebują się w mokry piasek i muł, siedzą pod kamieniami, w szparach skał i t. p. Kto chce mieć dobry połów, musi znać zatem i ich obyczaje; po odpływie morskim chodzimy nieraz po brzegu i nie znajdujemy żadnych zwierząt, ale gdy tylko poskrobiemy nieco łopatką mokry piasek, natychmiast natkamy tu mnóstwo żywych mięczaków. Tak żyją zagrzebane w piasku *okładniczki* (*Solen*) fig. 7, *sercówki* (*cardium*), mające skorupy sercowatego kształtu, z prążkami podłużnymi. Na rycinie 8 widzimy właśnie sercówkę z otwartą skorupą, z której wysunął się potężny mięsień, zwany *nogą* kolankowatą zgiętą, za pomocą której zwierzę zagrzebuje się w piasek.

Gdy skorupa zamyka się, to noga się kurczy i zostaje wciągniętą wewnątrz. Skorupa sercówki jest bardzo mocna, gruba, a obie jej połowy połączone są nietylko mocnem wiązadłem, ale prócz tego *zawiasami*, tak nazywają się zęby i dołki, w siebie zapadające, na grzbiecie skorupy. Takie zawiasy znajdują się u bardzo wielu skrup.

Lepiej jeszcze ukrywa się *skąłotocz* (*Pholas dactylus*) przedstawiony na ryc. 9; żyje on w dziurach, które sam sobie wierce w skałach wapiennych i granitowych. Nie jest to jeszcze dokładnie zbadane, jakim sposobem to zwierzątko wywiercić może dziurę w skałe tak twardej jak gneis i granit. Jedni przypuszczają, że skałotocz wypuszcza z siebie płyn gryzący, który rozpuszcza skałę; inni mówią, że mięczak, oparłszy się mocno nogą, piłuje skałę jak piłą ostremi brzegami swej skorupy, kręcąc się przytem na prawo i na lewo; nakoniec jeden z przyrodników (Hanckok) utrzymuje, że skałotocz wywierca dziury swą szorstką nogą, trąc nią o skałę. Skałotocz ciekawy jest jeszcze i z tego względu, że jestto najwięcej świecący ze wszystkich mięczaków. Ma on szczególne przyrządy, z których wypływa świecący, kleisty płyn i rozlewa się po całym jego ciele, tak, iż gdy dotknąć mięczaka ręką, to dłoń staje się świecąca; świecą się także usta osoby, która je te mięczaki.

Widzimy na ryc. 9, że brzegi skorupy skałotocza nie stykają się ze sobą szczelnie, jak np. u omulka, lecz że są na obu końcach rozwarłe. Prócz tego poły płaszcza zrosły się ze sobą na brzuchu i otuliły całego mięczaka, ale w zamian za to na tylnym końcu z tego płaszcza powstały dwie rurki, z których jedna kurcząc się wciąga wodę z morza do skrzel, a druga rurka wypycha wodę z pod płaszcza napowrót do morza, i przez nią to odchodzą wszelkie nieczystości. Takie rurki albo *cewki* do wciągania i wyrzucania wody mają liczne mięczaki.

(d. c. n.)

KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ z XV WIEKU

przez

Z. Morawska.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Gdyby nie szczególniejszy wypadek i szczęśliwy zbieg okoliczności, że Andor znalazł w bratanku biskupa kolegę, kto wie, jakiego przyjęcia byliby doznali panowie węgierscy.

Elżbieta bowiem, a raczej Gar przez swoich stronników i posłów taką cierpką odpowiedź dał swatom, iż zamiast sojuszu byłoby może przyszło do wojny.

Obadwa narody rozumiały doskonale, że z wzajemnego porozumienia się, mogłaby wypłynąć dla nich wielka korzyść. Węgry i Czechy były zawsze łakomym kąskiem dla cesarzów niemieckich, którzy tym sposobem zbliżali się coraz więcej na wschód, dążąc do zajęcia krajów słowiańskich. Sojusz więc Węgier z krajem słowiańskim był dla Niemiec solą w oku, wzmacniał bowiem Węgry, które znów ze swej strony były niejako przedmurzem dla tego ostatniego.

Cesarz więc starał się wszelkimi sposobami sojusznikowi temu zapobiedz, jako przeszkadzającemu jego zamiarom. Wdzierający się zaś w głąb Europy Turcy stawali się dla obu państw, jako też i całej słowiańszczyzny, coraz groźniejszą potęgą, połączenie się więc przeciw tej potędze było koniecznem tak dla państw słowiańskich, jako i sąsiednich Węgier.

Zresztą niepospolity umysł Oleśnickiego, jego dyplomatyczne zdolności, względy, jakie sobie pozyskał u papieża,

wysokie stanowisko w Rzymie, jakie otrzymał wraz z kapeluszem kardynalskim, imponowało Węgrom. Prócz tego, dawało im rękojmię, że kraj ich pod berłem młodziutkiego Władysława zażywać będzie, jeżeli nie upragnionego przez wszystkich spokoju, to przynajmniej uchroni się od niezawistnego im panowania Niemiec. Z tych więc względów wyłomaczenie cierpkiej odmowy przez Andora, znalazło powolne ucho u dostojnika państwa. Ten, udobruchawszy się, oczekiwał już teraz posłów, których mu młody ich wysłannik obwieścił.

Pomyślny obrót poselstwa był nietylko przez posłów, lecz i przez całe ich stronnictwo, a nawet obadwa narody z bićciem serca i niecierpliwością oczekiwany.

Im więcej zbliżano się do pałacu biskupiego, tem większy niepokój ogarniał serce posłów; Kopaszad wprost ustawał w drodze, wołał też co chwila:

— Wolniej, wolniej, toć nim poselstwo odprowadzę, ducha przed progiem biskupa kardynała wyzionę!

Zwolniono więc kroku; szlachetny żupan wysapał się nieco, ale nie upłynęło i dwóch minut, a znów wołał:

— Nie idźcie mi o moje zdrowie, ni życie, chętnie się dam na umęczenie, lecz przez miłość dla wielkiej sprawy, której jestem przedstawicielem, zwolnijcie nieco!

Tak przystając co chwila, dobili nareszcie do biskupiego pałacu.

Toszarzucił swemu panu na ramiona delię, podał rękawiczki i czekał z podaniem czapki, dopóki tenże rąk swych nie ubierze.

— Dyable to są kajdany — wołał Kopaszad, wciągając rękawice na spotniałe dłonie, ale czegoż to się dla dobra ogółu nie robi! — dodał z namaszczeniem.

I cichy Sandor Ujlakim również doznawał pewnego wzruszenia, objawiał je coraz częstszem wsuwaniem i wysuwaniem szyi w ramiona i milczał uparcie.

Tylko Andor miał twarz wesołą i oczy rozpromienione. Ambitnemu, cheiwemu wiedzy i wielkich stosunków chłopcu to zbliżenie się do człowieka, od którego czoła biła aureola rozumu i potęgi, nie odejmowało odwagi, owszem, zdawało mu się, że jest to jeden krok bliżej do jego marzeń, i że jak ten dostojnik i on w przyszłości będzie mógł być światłem i mądrością dla swego narodu.

Odźwierny, stojący przy bramie, uśmiechał się do niego i na rozcież drzwi mu otworzył. Młodzieniec szedł teraz śmiało przez obszerne, sklepione podsienia, wskazując drogę posłom ku szerokim kamiennym schodom.

— Ten smyk jest jakby u siebie — mruczał zasapany Kopaszad, wstępując powoli na schody i obrzucając Andora wejrzeniem, pełnem podziwu. Ten zaś, przycisnąwszy się do muru, skłonił przed idącymi głowę i ruchem ręki wskazywał korytarz, wiodący do komnaty audencyonalnej.

— Zapytaj się czy można? — szepnął mu Ujlakim.

Szept ten znać zrozumiał, a raczej domyślił się dworzanin, będący na służbie w obszernej antikamerze. Skłonił się więc uprzejmie i dał znak stojącemu przy drzwiach słudze, ażeby drzwi przed przybyłymi otworzył.

Była to tak krótka chwila, że Kopaszad nie zdążył nawet odsapnąć, nie dostrzegł też pełnych podziwu oczu, które ich przez antikamerę przeprowadzały. W okrag bowiem siedziało dużo osób, pomiędzy którymi znajdowali się i duchowni, oczekując, aż przyjdzie na nich kolej przyjęcia. Toszarzecz tę jedną chwilę, stojąc przed antikamerą, zdołał bystrem swem okiem objąć całe jej wnętrze, a zostając na korytarzu, rzekł sobie w duchu:

— Ot, jak to fortuna nierówno obdziela: mój nowy pan, choć gruby, przecież we drzwi się zmieścił, a ja taki chudзина i nie zdołam!

A potem dodał:

— Ba i Andor, chudзина z postaci, ale mu łeb tak rozum rozpiera, że wszędzie nim sobie miejsce robi. Ba, ba, on już w infimie był głowacz.

Posłowie tymczasem spojrzawszy na surowe i pełne powagi oblicze biskupa, zupełnie już rezon stracili.

Po oddaniu głębokiego ukłonu nie wiedzieli co dalej począć. Dostojnik kościoła i państwa skinął im głową, a nie schodząc ze swego biskupiego fotelu, spojrział na nich przenikliwym wzrokiem. Dojrzawszy zaś za przybyłymi Andora, mile się uśmiechnął, co dodało wszystkim otuchy.

Wtem ochmistrz szepnął:

— Trzeba rozpocząć słowa powitalne.

Andor również szeptem przetłumaczył to Ujlakimowi. Kopaszad nabrał jakoś rezonu i wysunąwszy naprzód jedną nogę, prawą rękę położył na sercu, a w lewej trzymając czapkę, powiał nią w ukłonie tak nisko, że czaple pióro zamiotło marmurową posadzkę. Potem odetchnąwszy, zaczął swym potężnym głosem:

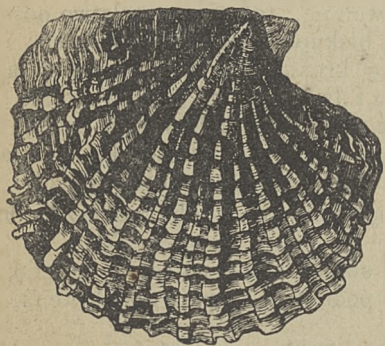


Fig. 3. Perłopław perłorodny (*Meleagrina margaritifera*); A, skornpa od zewnętrznej; B, od wewnętrznej strony z rozwiniętą perłą.

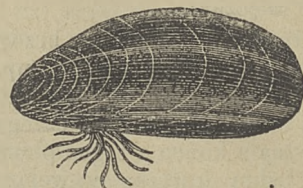
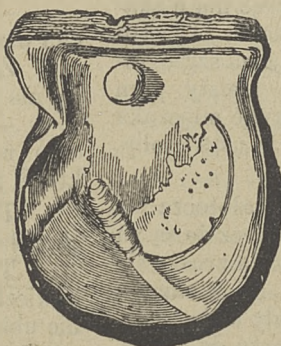


Fig. 4. Omulek jadalny (*Mytilus edulis*) ukazujący bisior.

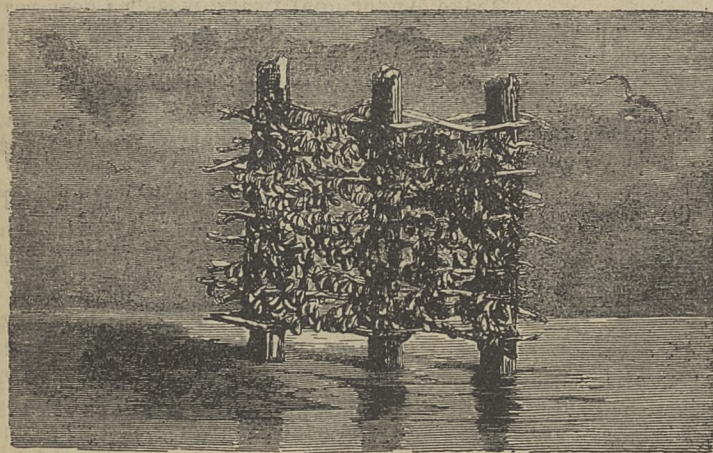


Fig. 5. Słupy w morzu z plecionką, obsadzoną dorosłymi omułkami jadalnymi (*Mytilus edulis*) do zbioru żdatnemi.



Fig. 6. Szoldra przednia (*Pinna nobilis*).

— Naród węgierski, którego ja, Janós Kopaszad, żupan, starosta i pan wielu włości, ja, który z dziada pradziada, ba i sam położyłem wielkie dla kraju zasługi, oraz Sandor Ujlakim, dowódca honwedów, hrabia na Wrtoczy, a towarzysz mój (tu wskazał ręką na stojącego obok Ujlakima), naród mój, mówię, którego jesteśmy przedstawicielami, zaprasza na tron, oraz ofiaruje koronę młodziutkiemu waszemu królowi. A korona to nie byle co, a naród nie nowy, ani żaden inny, ale zacny i godny! jeżeli tak godnych i zacnych jako ja, Janos Kopaszad, pan licznych ziem, starosta, żupan, który stoję na na czele poselstwa, ma przedstawicieli. A jako nas tutaj wasza dostojność widzisz stojących godnie i nie ubogo, tak z tą godnością i bogactwem oddajemy się zapraszanemu przez nas królowi, ażeby miał oczy swe młodziutkie czem napaść i do naszych bogactw je przyzwyczał. A też możemy rzec śmiało, że takich miodów i takiego wina, jakie posiada węgierska kraina ani wasza dostojność, ani, da Bóg, przyszedł nasz król

nie kosztował. A jako się tu dzisiaj z tą prośbą składamy, tak kiedy przyszło do rady, ja pierwszy głosowałem, ażeby tak mądrej głowie, jak waszej exelencyi, sprawy nasze, a takiemu królowi, jako wasz, kraj nasz serca nasze, bogactwa i dzielność, do trzymania szabli zdolną prawicę powierzyć.

Tu pokazał rzeczywiście olbrzymią swą rękę.

Chciał jeszcze coś dalej mówić, lecz Ujlakim pociągnął go nieznacznie za spadającą mu z ramion bekieszę, dając znać, aby skończył. Dojrzał bowiem pewne zniecierpliwienie na twarzy biskupa, który, nie rozumiejąc obcych sobie wyrazów, nie mógł się lubować w przydługiej nieco mowie zacnego Kopaszada.

A dobrze, że nie rozumiał, boć mowa ta nie byłaby go zbudowała, kazał sobie jednak treść jej Andorowi powtórzyć. Ten jednak, chwytając każde słowo, układał sobie w myśli co można z niej wycisnąć, a dodając w swojej bujnej wyobraźni okągłość

i piękność stylu, powiedział jeno tylko to, co posłowie w tak ważnej sprawie wypowiedzieć powinni.

Gdy Andor skończył tłumaczenie, Ujlakim wyjął z za szamerunku przygotowany pargamin, Kopaszad ujął go z wielką pompą, położył na olbrzymiej swej dłoni i podał biskupowi.

Ten własnoręcznie otworzył podany sobie pargamin, szybko przejrzał i rzekł:

— Wielki zaszczyt mnie spotyka, że mi powierzono przedstawienie tak ważnej sprawy młodemu naszemu królowi i całej radzie, co zaś ona postanowi, nie omieszkam dostojnym posłom zakomunikować. Obecnie dodać to tylko mogę, że ze swej strony starać się będę sprawę tę zgodnie z waszymi życzeniami przedstawić. Tymczasem zaś proszę i zapraszam imci panów posłów, aby raczyli przyjąć gościnę w moim pałacu. Komnaty gościnne stoją dla nich otworem, a stół

mój czeka, abyśmy, przełamawszy kęs chleba, spełnili toast za pomyślność sprawy i sojuszu obu narodów.

Andor powtórzył dosłownie odpowiedź biskupa, a Kopaszad usłyszawszy o obiedzie i toaście, nie mógł się powstrzymać od mlaśnięcia językiem.

Szepnął też przytem:

— Oj, czasby już było sięgać do stołu, boć mi wewnątrzności się skurczyły, jak skóra na słońcu, a język z pragnienia kołem już stanął.

Nie zaraz jednak odeszli.

Na wysłanej poręczy fotelu biskup położył z powagą dłoń, ozdobioną sygnetem, w którym błyszczały otoczone drogiem kamieniami relikwie. Ochmistrz zaś szepnął, iż to jest znak, że przybyli są przypuszczeni do ucałowania pierścienia.

Po skończeniu ceremonii posłowie opuścili komnatę, biskup przyjął jeszcze kilka innych osób, lecz po zadumanej twarzy znać było, iż w głowie swej waży losy dwóch państw, które w tej chwili w ręce jego złożono.

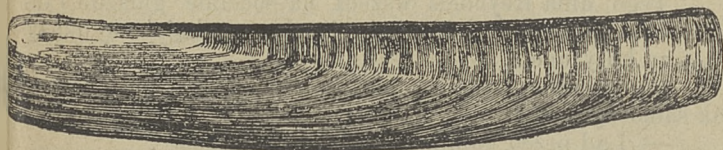


Fig. 7. Okładniczka. (*Solen eusis major*).

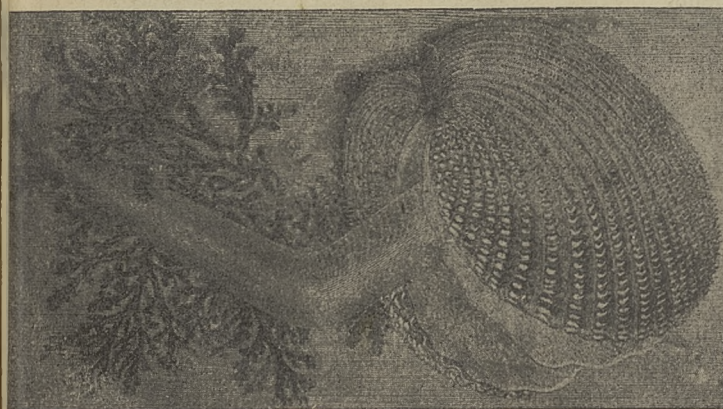


Fig. 8. Sercówka najeżona (*Cardium echinatum*) z nogą kolankowato zgiętą, ze skorupy wysuniętą.

Kopaszad, wyszedłszy zaledwie za próg antkamery, rzucił rękawicę i bogatą delię na ręce gotowego do usług Tosza i zawołał:

— No, łaźnia to łaźnia, ale przyznać sam sobie muszę, że palnął mowę, jakiej i starożytni mędrcom, o których tam ktoś mi kiedyś mówił, z pewnością by się nie powstydził.

Czekała go jednak druga łaźnia. Jeszcze bowiem nie skończyli obiadu, i pan starosta Kopaszad nie zdążył doskonale popłukać gardła, gdy przyszedł rękodajny królewski i skłoniwszy się rzekł:

— Najjaśniejszy pan prosi panów posłów i jego dostojność biskupa do zamku na podkurek.

— Dobry znak — pomyślał sobie Ujlakim. — nie łaźnia się przecie chleba i nie trąca kielichem z tymi, którym się odmawia.

— Hm, hm — mruknął sobie Kopaszad — niechby przynajmniej na stole tego dzieciucha było takie wino, jako u biskupa.

Tosz zaś stojący za panem i otrzymujący resztki z jego misy, pomyślał:

— Czy też to mi będzie wolno wstąpić do królewskiej komnaty?

Andor, który jako tłumacz stał za posłami, pewny był, że razem z nimi wejdzie do królewskiej komnaty. Nie kłopotał się też wcale. Lecz serce mu biło na myśl, że zobaczy króla, który, mimo lat młodszych, chodził już obojętnie na wojnę z Turkiem, a dzielność jego prawicy i siła dorównywała najstarszym, osiwiłym w boju rycerzom.

Gdy już się zabierali do wyjścia, Kopaszad rzekł:

— Ach, co to człek dla tej wielkiej sprawy poświęca! boć to wejście na tę górę, kiedy stoi królewski zamek, policzono być powinno za zasługę nie tylko w tem, lecz i w przyszłym życiu!

Zasługa jego jednak upadła, gdy bowiem wyszli przed bramę biskupiego pałacu, ujrzeli złocistymi zewnątrz ozdobami strojną, o wewnątrz fioletową delią wybitą kolebkę.

Sześć koni siwych, jak jeden dobranych, w pióropuszech fioletowych z żółtem i takiejże barwy nakrycia, gotowe były powiesić to arcydzieło sztuki powoźniczej i siedzących w nim posłów. Na koźle woźnica ubrany również w barwę biskupią, trzymał lejce zastosowane do ekwi-



Fig. 9. Skołotocz palczak (*Pholas dactylus*) w skale przez niego wydrążonej. Morza europejskie.

pażu. Przy stopniach tej wysokiej kolebki stało dwóch paziów, ustrojonych w obcisłe spodnie i kaftany także koloru fioletowego z żółtymi ozdobami.

Ci zaraz ujeli okazałą postać pana posła, z wielkim trudem pomogli mu wejść do wnętrza, a następnie podali ramię Ujlakimowi. Sami zaś stanęli na stopniach po obu stronach, gotowi do usług siedzących w kolebce panów.

— Phii! poznali się na nas, jakim im mową i całem znalezieniem się zaimponował, bo i cześć przynależną oddają! — rzekł, usadowiwszy się Kopaszad.

Ale gdzie jest nasz tłumacz? — zapytał.

W odpowiedzi zobaczył jadącego przy kolebce Andora, a za nim Tosza, trzymającego rękawicę swego pana, których przy wyjściu zapomniał.

Uspokoiwszy się co do tłumacza, rzekł znów po chwili.

— Biskup pewnie za nami, w drugiej kolonie pospiesza.

— A oto go macie — odparł milczący po swojemu Ujlakim i wskazał ręką przed siebie.

Tam na górę wjeżdżało trzech konnych, był to biskup,

[102]
który, pomimo swoich dostojenstw, najchętniej odbywał podróż konno, biorąc ze sobą zwykle dwóch tylko przybocznych.

Gdy weszli do komnaty królewskiej, zastali w niej tylko wielkiego ochmistrza, który wskazał przeznaczone dla posłów miejsca. Nie zdążyli ich jeszcze zająć, gdy się otworzyły ciężkie drzwi dębowe, i sekretarz królewski zawołał:

— Król jegomość!

Zaraz też ukazał się młodzieńcy Władysław, a tuż za nim biskup, który występował teraz jako kanclerz państwa i jedyny doradca króla.

(d. c. n.)

Z ŻYCIA ZWIERZĄT.

Chyłkiem, ostrożnie, bystro wkoło się oglądając swemi skośnemi oczami, wyszukując zacienione krzewami przejścia, lub kryjąc się za urwiska skalne, wyszedł lis, zręczny łowiec, za zdobyczą, której się głód jego domagał.

Równocześnie i w tymże samym celu podniósł się z gniazda na szczycie wysokiej skały piękny orzeł karpacki, rozwinął szeroko skrzydła, zatrzepotał niemi, zakrakał donośnie, aż echa górskie mu zawtórowały, i majestatycznie, pełny swej siły, wzbił się w obłoki, by z niebieskich wyżyn przenikającym swym wzrokiem, szerokim kołem przejrzeć okolice.

Nieświadom zdrad i napaści, łagodny i cichy zajączek przysiadł tymczasem wśród świeżej trawki i skubiąc ją ze smakiem wielkim, tak się cieszył swą młodością, tak rozkoszował jasnym słonkiem, że aż od czasu do czasu podskoczył sobie wesoło.

Taką właśnie chwilę zapomnienia upatrzyli skradający się z boku lis i z wyżyn swoich spuszcający się orzeł, bowiem obadwaj, nieszczęsnym dla siebie wypadkiem, upatrzyli sobie tę samą ofiarę.

Lis jednak przyskoczył pierwszy i ostre swe pazury wpił już w grzbiet słabego szaraka, gdy nagle usłyszał tuż nad sobą łopot olbrzymich skrzydeł króla ptaków, który, przysiadłszy na odłamie skalnym, całą swą postawą wyrażał groźbę, straszną nawet dla chytrego lisa.

I rozpoczęła się wkrótce zacięta walka na śmierć lub życie, walka, podniecana siłą wielką, bo siłą głodu.

Napróżno jednak lis używa wszelkich podstępów, napróżno nie szczędzi swych kłów i ostrych pazurów, orzeł posiada siłę, która drwi sobie nawet z takiego jak lis przeciwnika, i bodaj nie pierwsza to już będzie dla niego uczta z podobnej zwierzyny.

Tymczasem korzystając z walki dwóch swych nieprzyjaciół, uwolniony z uścisku lisich pazurów, jednym susem odskoczył szarak w gęstwinę, i długo jeszcze zajęcze jego serce biło gwałtownie pod wrażeniem przebytego niebezpieczeństwa.

Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

1

bieguna północnego.

(Dalszy ciąg).

— Tak, było to wiele lat temu w zatoce Baffina. Płynęliśmy na statku „Gothaab”. Dostaliśmy się aż na północ od zatoki Disko, bo morze w tym roku było dziwnie wolne od

lodów. Kiedyśmy pomyśleli o powrocie, już było zapóźno, bo zewsząd napływały góry lodowe i jednego dnia zatrzymała nas nieprzebyta ławica. Mieliliśmy parę psów na pokładzie, otóż niebawem oba zginęły na czarną śmierć. Za niemi poszli majtkowie jeden po drugim. Ci, co żyli, upijali się na zabój, żeby się śmierci nie lękać, ale i to nie pomagało. Z Anglii wypłynęliśmy w dwudziestu dziewięciu, a gdy wiosna nastała było nas tylko siedmiu. Potem statek zatonął i my popłynęliśmy na południe na górze lodowej. Wszystkim się nam w głowach pomieszało, dostaliśmy gorączki, wreszcie jakiś statek nas dostrzegł, ale ja jeden tylko byłem przy życiu, tamci pomarli.

Sigurd skończył, zapadło głucho milczenie...

Pierwszy je przerwał Reynolds, mówiąc:

— Więc nam grozi to samo niebezpieczeństwo. Co trzeba robić, aby je oddalić?

— Dawać ludziom ciągle zajęcie, wynajdywać rozrywki, bo to jest choroba, na którą zapadają najczęściej ludzie smutni. Należy mieć jaknajwięcej ruchu, no i dyetę odpowiednio zmienić. Już kazałem budować chatę ze śniegu dla psów podejranych o niezdrowie, resztę zaraz zrobimy.

Tego dnia Reynolds wszedł na bocianie gniazdo i dostrzegł na północy wschód od okrętu chmurę, która się ukazywała na horyzoncie.

Po południu chmura nie zmieniła położenia i zawsze tak samo wyglądała.

— Ład przed nami! — zawołał, schodząc.

Na te słowa wszystko, co żyło, wyległo na pokład, jak gdyby ów ład był końcem cierpień, ziemią obiecaną.

Sigurd pospieszył do Snydersa, aby niezwłocznie przygotować sanki i psy, tak im śpieszno było dostać się do tej ziemi.

Wyspa owa, bo naturalnie nie mogło to być nic innego, oddaloną była o jakie trzydzieści mil. Reynolds wiedział, że podróż będzie uciążliwą, ale przynajmniej będzie miała cel, a jemu szło teraz o podniesienie ducha w załodze.

Na okręcie został tylko doktor, jeden majtek do posługi, kucharz i Swolto, który za nic nie chciał opuścić chorych psów.

Zaprzężono psy do sanek, na które Sigurd nałożył zapasów i wory do spania, bez nich bowiem niepodobnaby się było obejść.

Pierwszego dnia podróży przebyli piętnaście mil dzięki niezmiernie równej drodze i użyciu „skich”. To też wieczorem byli bardzo pomęczeni i od razu po wieczery weszli do swoich worów. Jednak ta myśl, że są blisko bieguna, nie dawała im spać i po chwili Sigurd zapytał:

— Więc pan nie jest zdania, że cały biegun jest otoczony lodem, od którego czasem odrywają się bryły i płyną na południe? Utrzymują także, że na biegunie morze jest zamrożone prawie do dna.

O tem nikt sądzić nie może, ale spotykano przy Grenlandyi prawdziwe wyspy lodowe, które nie wszędzie ze względu na płytkość morza, ale w wielu miejscach mogłyby się przedostać. Zresztą to są rzeczy niezbadane, i choć nie chcę nikomu zaprzeczać, jednak sądzę, że te wyspy lodowe mogą być równie dobrze częścią ławicy.

— A jak pan sądzi, czy na biegunie jest ziemia?

— Takie jest moje zdanie. Możemy nie napotkać większego ładu, ale nie wątpię, że znajdziemy pojedyncze wyspy, które może kiedyś stanowiły znaczniejszy kontynent. Daj Boże, abyśmy nie spotkali po drodze takiej wyspy, bo możemy sobie wyobrazić, co to się dzieje z ławicą lodową, którą prąd posuwa na wyspę. Co to za chaos musi powstać! A jeszcze, jak wybuchnie burza!

— Więc przy biegunie niema otwartego morza?

— To jest legenda, którą sobie opowiadają łowcy wielorybów, ale uczeni tego na serio nie biorą.

— Być może, że to nie jest legenda — zauważył Józef — przecież na wiosnę, kiedy na północy całe morze jest zamrożone, spotykamy fokki, które płyną na południe, a po urodzeniu się małych znów wracają na północ.

— Wszystko to jest jeszcze zagadką, do której rozwiązanie niebawem znajdziemy

Nazajutrz do południa droga była równie łatwa do przebycia, ale po obiedzie stanęli nad częścią pola tak połączoną, że Reynolds wahał się czy iść dalej, czy zawrócić.

W końcu zdecydowano się iść naprzód, i rozpoczęła się zmuśna droga, gdyż psy, ciągnące sanie, zapadały się między bryłami, i ludzie zmuszeni byli co chwila je wyciągać. Do wieczora przebyto zaledwie cztery mile, i podróżni zniechęceni rozłożyli namiot w Chaosie, bo tak Reynolds nazwał to pogruchothane pole.

— Co mogło spowodować takie zaburzenie? — rzekł lord Daybreak.

— Przypuszczam, że burza, która wybuchła na otwartym morzu dalej na północ. Tu doszły tylko rozkołysane fale i całą tę skorupę lodową połamały i powyrwowały. Sądzę, że dno morskie znajduje się niedaleko, i że stoimy na piaszczystej ławicy.

Nazajutrz doszli do wyspy, która się wysoko wznosiła nad lodem. Podzielono się na dwie części, z których jedna, złożona z Jones'a i Daybreaka została przy namiocie na dole, zaś Olaf, Collin, Danaldson i Reynolds, zaopatrzwszy się w sznury i topory, ruszyli na górę.

Droga była trudna i męcząca z powodu świeżego śniegu, który zasypywał szczeliny, tak, że trzeba było iść bardzo ostrożnie i próbować gruntu długim kijem. Przytem spadek w wielu miejscach był niezmiernie stromy i tylko dzięki niezmierniej zręczności turystów udawało im się dostawać z jednej skały na drugą.

Nareszcie doszli na szczyt najwyższego pagórka, gdzie barometr wskazywał wyniesienie 8000 stóp nad powierzchnią morza

Raz dostawszy się na tę wyżynę, zapomnieli o zniechęceniu i oczarowani patrzyli na tę przestrzeń śnieżną, która nieprzerwanie ciągnęła się na zachód i na południe równie nieskończona i wielka, jak ocean. Na wschód zaś i na północ sterczały na horyzoncie wysokie szczyty gór.

Reynolds wyjął książeczkę z kieszeni i robił pilnie notatki, a gdy ją schował z uśmiechem, Collin rzekł:

— Cóż pan tak dobrego zobaczył?

— Nawet bardzo dobrego. Widzisz, że tu jest mnóstwo wysp, ale tylko na wschodzie, cała zachodnia część jest pusta. No i spadł mi ciężar z serca, bo od tego zależy powodzenie naszej wyprawy.

— Nie rozumiem dlaczego — rzekł Collin.

— A ja rozumiem — odezwał się Sigurd. — Razem z ławicą posuwamy się do bieguna, otóż gdybyśmy się dostali między wyspy, to i ławica i my uleglibyśmy zupełnemu zmiażdżeniu.

— Ale to nam teraz nie grozi. Nie traćmy jednak czasu i schodźmy do naszych przyjaciół, bo na tej wysokości możemy zamarznąć.

Za tą pierwszą wyprawą poszły inne, gdyż Reynolds uważał, że zdrowie załogi zyskiwało na ciągłym ruchu. Poznawano okolice, a tymczasem dzięki ciągłemu ruchowi na północ cała ławica posuwała się do bieguna. Kapitan robił wyliczenie i pewnego dnia, zwoławszy załogę, oznajmił, że się znajdują na miejscu, gdzie się wschód spotyka z zachodem i gdzie już nie ma północy.

Ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk radości, i Collin porwawszy sztandar angielski, zatknął go na najwyższym wzgórku lodowym wykonywując hymn narodowy. Za nim poszli inni i w ciszy, niezamąconej żadnym odgłosem, płynął śpiew i zdawał się tężeć w mroźnym powietrzu.

XI.

Straszne przygody.

Wiele miesięcy minęło od chwili zatknięcia sztandaru na biegunie, były to czasy smutne i ciężkie; trzeba było niezwykłej energii, aby utrzymać odwagę i nie uleść rozpacz.

Szybkość, z jaką cała ławica posuwała się na południe, zmniejszyła się bardzo. Reynolds nie mógł sobie wytłumaczyć, jaki był tego powód, czy prąd osłabł, czy może rozbił się o archipelag wysp, które widzieli na wschodzie?

— Jeżeli nie zmienimy kierunku, to zapewne dostaniemy się do zachodnich wybrzeży Grenlandyi, natrafimy na otwarte morze na północ od Islandyi albo pomiędzy tą wyspą a ziemią Jan Mayen.

— Zdawało mi się — rzekł lord Daybreak, że dostrzegł z bocianiego gniazda na południu szczyty gór. Może mamy przed sobą wielką wyspę, o którą się ławica opiera.

— I mnie się zdawało, że widziałem szczyty, ale to chyba pojedyncze skały, które nie mogą wpłynąć na zwolnienie ruchu. Cóż ty na to, Sigurdzie?

Sigurd przemówił powoli, jak człowiek, który długo myślał.

— Z biegiem wieków zmienia się postać lodów; morze walczy z ziemią, i w końcu zwycięża. Wielkie kontynenty stają się wyspami, z wysp zostają tylko nagie skały, bo morze całą miękką ziemię pochłania, ale jej nie odnosi daleko, tylko tworzy ławice, i one to mogą stanowić zapórę, o którą się zatrzymuje płynący lód. Jeżeli prąd jest silny, to lód ten posuwa wciąż naprzód, i nie mogąc się przedostać przez płytką wodę, łamie się i druzgocze.

— Więc i nas to może czekać. W każdym razie nie pozostaje nam nic innego, jak oddać się opiece Bożej i wyglądać cierpliwie, co nam Opatrzność zeszele.

Więc czekali tydzień jeden, drugi, z tym jedynie rezultatem, że zauważyli, iż cała ławica zmieniła kierunek, podczas gdy dawniej dziób statku skierowany był na południow-schód. Czyżby to miało znaczyć, że prąd okrążał biegun?

Dni stawały się coraz krótsze, i Reynolds razu pewnego zaproponował, aby skorzystać z ostatnich chwil jasnych i wybrać się na wycieczkę saniami.

Jeszcze gwiazdy nie zbladły, a przygotowano już psy i zaprzęgi i Reynolds skierował wyprawę na południow-schód, aby zwiędzić okolice jeszcze nieznane. Co parę kilometrów rozbijano lód, aby sondować morze, i pokazało się, że to ławica piaszkowa zatrzymała całą tę przestrzeń lodową. Zaledwie udało się naszym podróżnym przebyć pięć mil angielskich, ponieważ pomiary i sondowanie zajęły im mnóstwo czasu. Wieczór nadszedł i rozbito namioty, aby się udać na spoczynek. Nazajutrz, kiedy się wszyscy przebudzili, napróżno oglądano się za lodem Daybreak. Nie było go ani w gorze, ani w namiocie; Collin wreszcie dostrzegł ślad na śniegu, który go doprowadził do głębokiej szczeliny i tu się zatrzymał.

Widocznie lord Daybreak chciał wracać na statek, bo ślad szedł w tym kierunku; musiał mieć gorączkę, gdyż poprzedniego dnia uskarżał się na dziwne znużenie, nie dostrzegł jamy i tam znalazł śmierć przedwczesną.

Ten nagły zgon zrobił przynębiające wrażenie na całej załodze. Zdawało się, że to będzie początek końca.

Tymczasem prąd zmienił swój kierunek, i znów dziób statku zwrócił się na południe tak, jak było poprzednio. Równocześnie prąd się wzmocnił, i cała równina lodowa, a z nią statek, posuwały się z szybkością czterestu mil na dobę.

Reynolds znów nabrał otuchy, która go opuściła po śmierci Daybreaka, i zapewniał towarzyszy, że następująca wiosna ujrzy ich daleko na południu, a przed drugą zimą wrócą do domów.

Ale na morzu nie można być pewnym niczego, chyba rzeczy niespodziewanych, tak powiedział wielki Nelson, i to jego powiedzenie sprawdziło się na przygodzie, która spotkała Vikinga i jego załogę.

Zaczęło się od tego, że nieprzebyte ciemności otaczały statek przez cały miesiąc. Burza szła za burzą, i śnieg padał tak gęsty i ciągły, że zasypał cały statek, i tylko z wielkim trudem zdołali majtkowie utrzymywać komunikację pomiędzy okrętem a pałacem kryształowym.

Pewnej nocy, po strasznej burzy, dziwne odgłosy, idące z lodu, obudziły załogę. Podobne były do strzałów, słyszanych

zdaleka, a strzały te coraz się zbliżały i stawały silniejsze. Godziny mijały jedna po drugiej, i teraz były to grzmoty, połączone ze strasznym trzaskiem, jak gdyby jakieś siły nadprzyrodzone kruszyły góry lodowe. Nawet Sigurd tak doświadczony marynarz, nigdy nie słyszał nic podobnego.

Niezmierny strach ogarnął załogę, pogrążoną w ciemnościach, a gdy się jeszcze zerwał wiatr ze śniegiem, to każdemu się zdawało, że nadszedł dzień sądny, a raczej noc sądna, której nikt nie przeżyje.

Około szóstej grzmoty się uciszyły, i tylko od czasu do czasu wpadał wicher pomiędzy reje i maszty.

Nadszedł ranek, a z nim trochę światła, bo śnieg ustał. Kiedy Reynolds wyszedł na pokład, ujrzał, że cała powierzchnia lodowa połamana była i podruzgotana tak, że niktyby nie poznał wczorajszego pola, statek zaś znajdował się w głębi zatoki, której brzegi utworzone były przez olbrzymi wał brył lodowych.

— Sigurdzie, czy widzisz, co tu się dzieje? — rzekł kapitan, patrząc z trwogą w oczy marynarzowi.

— Już się stąd nie wydobędziemy.

— Więc myślisz, że dla statku niema ratunku?

— Bezwątpienia, gdyż są piły, któreby mogły uczynić wyłom w tych górach lodowych. Wszystek proch, który mamy na okręcie, nie podniesie ani tysiącznej części tych brył. Na to ludzkie siły nie pomogą.

— Tymczasem prąd coraz dalej się posuwa. Musimy znowu wejść w niego, że tak powiem.

— Tak, panie, zapewne, ale statku nie ruszymy, trzeba go będzie opuścić.

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI.

Nakładem pp. Gebethnera i Wolffawyszyły w trzecim już wydaniu tłumaczenia Antoniego Edwarda Odyńca, zawierające: *Dziewicę z Jeziora* i *pieśń ostatniego Miustrela* Walter-Scota; *Korsarza*, *Narzeczoną z Abydos*, *Mazepę*, *Niebo i Ziemię Bajrona*, — *Czcicieli ognia*, *Peri* i *Raj Moore'a*, *Dziewicę Orleańską* Szyllera, oraz *Ballady i Baśnie*, jednym słowem, arcydziela głównych poetów zachodnich z epoki romantyzmu. Nie potrzebujemy się rozwodzić nad zaletami i pięknosciami tych tłumaczeń, które przez historyków literatury uznane zostały za klasyczne i w zupełności godne oryginałów. Chcemy tylko zaznaczyć wobec wyczerpania pierwszych wydań, że nowe to wydanie jest cennym nabytkiem dla młodzieży, która studjuje już literaturę nowożytną, gdyż dzięki niemu może zapoznać się z jej perłami, zarówno jak z przepysznym wierszem i językiem tłumacza.

Wydanie obecne zawartem zostało w dwóch sporych tomach, z których każdy liczy z górą 500 stron. Papier dobry i druk duży, wyraźny. Cena rs. 3.

Z DALEKIEGO ŚWIATA.

Jan Kubary. — Odkrycia archeologów. — Pałac cyklistów.

W Penape, na wyspach Karolińskich, zmarł niedawno Jan Kubary uczony przyrodnik, Polak, wychowaniec warszawskiego uniwersytetu, którego liczne wspomnienia z odbytych podróży, drukowane były w tutejszych czasopismach, prace zaś naukowe ogłoszone w języku niemieckim. Przed dwoma laty wydał w Leydzie „Wiadomości etnograficzne” o archipelagu Karolińskim”. W ostatnich czasach podróżował po oceanie spokojnym w celu zbierania różnych ciekawych okazów dla muzeum starożytnego i przyrodniczego w Hamburgu, założonego przez dom handlowy Godffroy, którego był agentem. Długo oddalony od kraju, miał zawsze zamiar doń powrócić na stare lata, kiedy śmierć przecięła piasmo dni jego.

Prace przedsięwzięte przez uczonych archeologów, doprowadzają zwykle do ciekawych odkryć. Obecnie przy rozkopywaniu starych grobów rzymskich, znaleziono między innymi grób dziesięcioletniej dziewczynki przed 1500 laty zmarłej, wypełniony zabawkami. Były tam piękne kolorowe szklane paciorki, cały stos drobnych zabawek, podobnych do naszych bąków, nadto liczmany ze szkła niebieskiego i zielonego, mały ptak z gliny przedstawiający kaczkę, oraz dwie małe szklane czarki.

Jedną z ciekawości przyszłej wystawy powszechnej w Paryżu, zapowiedzianej na rok 1900 ma być pałac cyklistów. Składać się on będzie cały z powiększonych odpowiednio części bicykla. Otwory okien wyobrażać będą olbrzymie koła rowerów, a wierzch gmachu ozdobi wielka piramida, złożona z welocypedów. Oprócz historii welocypedu przedstawionej obrazowo od najdawniejszych czasów, istnieje projekt urządzenia w gmachu wzorowej fabryki, która w obecności widzów wyrabiać będzie najdrobniejsze składowe części welocypedów. W restauracji kelnerowie będą usługiwali jeżdżąc na bicyklach, orkiestra na trycyklach objeżdżając gmach, będzie uprzyjemniała czas zwiedzającym. Naturalnie ozdoby ścian i plafonów wszystkie pozostawać będą w związku ze sportem kołowym. Dla welocypedów wodnych urządzony będzie olbrzymi basen, którego podłoga odpowiednimi ruchami wywoła wielkie wzburzenie fal.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY, na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Sasanki, wiersz przez E. M. — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Z życia zwierząt (z ryc.) — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego. — Nowe książki. — Z dalekiego świata. **Dodatek:** Od Redakcyi. — Niendane łowy, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Zażegnana kłótnia. — Karo przez M. Werybo. — Bez domu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE

NIEUDANE ŁOWY.

Znane daleko w swym rodzie
Jako chytre bardzo głowy,
Hołdując przyjętej modzie,
Wyszły dwa lisy na łowy.

Uzbrojeni, jak przystało
Na myśliwych zawodowych,
Za hajduczka wzięli małą
Łasiczkę o włosach płowych.

I nie tracąc wiele czasu,
Wnet zajęli stanowisko,
W zaroślach na brzegu lasu
Do ziemi przysiedli nisko.

Lecz choć pewność siebie wielka
Choć przebiegłość oko pali,
Zwierzyna umyka wszelka,
Strzał chybiony, nie powali!...

Uciekają w chyżym skoku,
Zwinne jelenie, szaraki,
Jakby pod wpływem uroku,
Bezpieczne są również ptaki.

Bo nie cała pono sztuka,
Przebiegłość i pewność siebie,
Gruntowna tylko nauka
Służy nam w każdej potrzebie.

M. D.



Od Redakcyi.

Liściki, które odbieramy od czytelników „Wieczorów”, sprawiają nam niejednokrotnie prawdziwą przyjemność czystem, kaligraficznym pismem, to też pragniemy przekonać się, o ile wszyscy młodzi nasi przyjaciele (do lat 10 włącznie) dokładają starania w tym kierunku jakie robią postępy. W tym celu prosimy o nadsyłanie prób kaligrafii do dnia 1 maja, a uznane z nich za najlepsze, względnie do wieku piszącego, wyróżnione zostaną upominkiem od Redakcyi. Jak zwykle kaligrafię, pisać należy w dwóch liniach i co najmniej na pół arkusza, a każdy piszący winien podać: *dokładny adres, imię, nazwisko i lata swoje*. Kto zaś nie dopełni tych warunków, nie może się nawet wzmianki spodziewać w sprawozdaniu.

ZAŻEGNANA KŁÓTNIA.

BAJKA.

(Ciąg dalszy).

— O, to już widziałam. Stara Janowa ma kołowrotek, lubiłam patrzeć, jak przędła, poruszała nogą koło tak samo, jak mamusia przy maszynie, a ręka wyciągała nitkę, chciałam nawet spróbować, ale mi się zawsze nitka zerwała.

— Ludzie od bardzo dawna znają len i konopie i z włókien ich oddawna korzystają. W czasach najdawniejszych przędli na wrzecionach. Jest to przyrząd bardzo prosty. Składa się z deski, w którą na końcu wbijano długi kij, zwany kądzielą, na kiju owijano włókna, prządka kładła deskę na ławie i siadała na niej, następnie wyciągała włókienko, skręcała je w palcach i przywiązywała do kijka, wyciosanego gładko i w jednym końcu cieniutko zaostrego, następnie lewą ręką snuła dalej włókno, a prawą obracała wrzeciono, które, kręcąc się, skręcało

nitkę. Ale była to robota bardzo mozolna, to też z czasem ludzie wymyślili kołowrotek, którego ci opisywać nie będę, bo go widziałas, robota na nim już znacznie pospiesniejsza.

Tak przedli dawniej, a było to ulubione zajęcie wszystkich kobiet; zarówno bogate, jak biedne, królowa w zamku i uboga wiejska dziewczyna obracały wrzeciono lub kołowrotki.

Dziś wymyślono maszyny, które obracają nie jedno, nie dziesięć, ale setki wrzecion, a każde skręca nitkę, poruszają je nie ręce lub nogi, jak u kołowrotka, lecz para.

— Jakto para, jak w żelaznej kolei? jakżebyś chciała widzieć taką maszynę.

— Może ją zobaczysz kiedy, mamy w naszym kraju dużo fabryk, czyli przędzalni, nawet niedaleko, bo w Łodzi i Żyrardowie, który ledwo o parę godzin drogi jest odległy od naszego miasta, będę nawet chciała pokazać ci je przy sposobności, bo to bardzo ciekawe.

— Prawda, mamusi, że to musi być ciekawe, a ze mnem czy tak samo robią?

— Pewnie tak samo, tylko ten ma włókna daleko delikatniejsze, więc też i użytek z nich inny. Z nici konopnych, które są bardzo mocne, kręcą sznurki, linki i liny okrętowe, grubsze niż twoja ręka, wyrabiają też grube płótno, używane na żagle.

— To dlatego owe konopie w bajce tak się chwaliły, że wojują z wiatrami.

— Z nici lnianych robią cienkie płótno, z którego masz koszulki, umieją nawet prąść niteczki tak cienkie, jak pajęczyna z tych wyrabiają piękną tkaninę, zwaną batystem, no i koronki, w których niewiedomo co więcej podziwiać, czy cienkość przędzy, czy delikatność wyrobu.

— To dziwne roślinki, takie niepozorne, a tak użyteczne; ależ to ta trawka była od nich mądrzejsza, bo naprawdę nie miały się o co sprzeczać, ja sama nie umiałabym powiedzieć, która użyteczniejsza.

— Tak, to bardzo pożyteczne rośliny, bo oprócz włókien dają jeszcze nasiona, z których znów wytłaczają olej.

— A czy niema już więcej takich roślin, z których możnaby robić nici?

— U nas niema, ale w krajach gorących rośnie rodzona siostra tych pięknych malw, któremi się tak zachwycalas w czasie lata, i tego niepozornego ślazu, co to rośnie przy ziemi, posiada niepozorne lila kwiateczki, a owoce ma podobne do małych serków.

— Wiem, wiem, ale dlaczego mamusia mówi: rodzona siostra malwy, albowiem to rośliny mają siostry?

— Tak, rośliny tak samo, jak ludzie, na rodziny się dzielą, otóż właśnie do rodziny ślazowatych należy bawełna

(d. n.)

K A R O.

Janek widział na wsi, jak wujek konno jeździł, i to mu się bardzo podobało.

On by z przyjemnością sam pojechał. Wujek nieraz mówił: — Jak urośniesz, to ci kucyka daruję, będziesz jeź konno jeździł.

Ale kiedy to będzie! Janek skończył dopiero pięć lat. Ma on, co prawda, konia na biegunach, ale co to za zabawa! wciąż bujać się w jednym miejscu.

Długo myślał Janek, jakimby sposobem dostać konia małego, żeby sam mógł jeździć, gdy wtem przychodzi pies duży, Karo.

— A, wyborna myśl! — woła Janek. — Karo, chcesz zostać moim koniem? Co? chcesz?

Karo podszedł bliżej i ogonem wywijać zaczął.

— Już widzę, że chcesz. Dobrze, masz tu sznurek, weź go w pysk, to będą lejce, rozumiesz? a ja końce trzymać będę. No, stój!

Wskoczył Janek na psa, usiadł jak na koniu, nóżkami uderzył w bok, niby ostrogami.

Karo postąpił parę kroków, zatrzymał się, pokręcił ogonem, znowu przeszedł i w końcu usiadł. Janek zręcznie zeskoczył na ziemię.

— Nie chcesz więcej? No, na dziś niech będzie dość, ale jutro to dłużej jeździć będziemy.

Bardzo wesoło Jankowi było, kiedy pomyślał, że Karo będzie go wozził, jak kucyk. Pojedzie z nim do lasu, na pole, później z wujkiem jeździć będzie.

Nazajutrz była niedziela.

Janek, ubrany w jasną sukienkę, wybiegł na podwórkę, a tu Karo do niego się zbliża. Chłopiec, nie namyślając się długo, siada na swego rumaka i jedzie.

Pies idzie wprost przez podwórze, niby koń prawdziwy. Dojeżdżają w końcu do kałuży z wodą.

— Jak dobrze, że mam konia — mówi Janek — mogę przejechać błoto i wodę, a przejśćbym nie mógł.

Karo pospieszył do kałuży, bo mu się pić chciało, wszedł na środek i prędko pochylił się, żeby dostać językiem wody. Janek się tego nie spodziewał i wpadł do wody.

Niebezpieczeństwa, co prawda, żadnego nie było, bo woda była niegłęboka, ale strachu zażył Janek niemało.

A jak ubranie niedzielne wyglądało!... Już lepiej o tem nie mówić!

M. Weryho.

BEZ DOMU.

(Dalszy ciąg).

III.

Podczas gdy biedna dziewczynka przechodziła takie męczarnie trwogi, Franek przyglądał jej się przez szpary w ścianie ze złośliwym wyrazem oczu, a chwilami odwracał głowę, iżby ukryć wybuch śmiechu. Bawił się nielitościwie kosztem wyleknionej Kazi, a spostrzegłszy brata powracającego ze szkoły, skinął na niego iżby przyszedł wziąć udział w tej jego zabawie. Jaś jednak miał lepsze daleko serce; przykrym mu był widok małej siostrzyczki z poblądłą od strachu twarzą, z oczami pełnymi łez i rączkami załamanymi rozpaczliwie. Pochwycił gruby kij leżący na ziemi, pobiegł czempredzej odpędzić krowę, otworzył furtkę od obórki i zawołał życzliwym głosem:

— Nie bój się Kaziu, chodź śniało, krowa nic ci złego nie robi.

Dziewczynka z radością uchwyciła dłoń dobrego Jasia, a trzymając ją z całej siły, mówiła ze łkaniem jeszcze w głosie:

— Nie śmiem wyjść, bo ta krowa tak strasznie na mnie spogląda! Franek powiedział, że mnie z pewnością przebodzie rogami, jeśli tylko wyjdę z obórki.

— Nie wierz temu — tłumaczył chłopiec — krowy nie są tak straszne, szkodzą chyba najwięcej ludziom wtedy, gdy przez łakomstwo zbyt wiele ich mięsa spożywają, a to niebezpieczeństwo nie grozi ci u nas wcale, bo mięso gotowane czy pieczone zbyt rzadkim bywa na naszym stole przysmakiem — dorzucił, śmiejąc się Jaś, chcąc tym żartem dziewczynkę rozweselić.

Pocziwy kuzynek, mówił to z taką serdecznością, że Kazi wyrazem twarzy przypominał zmarłego jej ojca, wyobrażała sobie, że tak musiał on wyglądać za młodych lat. Jaś też od razu zdobył sobie zaufanie dziewczynki. Obtarła oczy i spojrzała na niego. Był równego wzrostu z Frankiem, lubo dwa lata od niego młodszy, ale pociągał wyrazem dobroci i łagodności, kiedy przeciwnie złośliwość malująca się w wejrzeniu starszego brata, budziła wstręt i nieufność.

— Wszak ty jesteś Jaś, mój brat stryjeczny? — zapytała Kazia.

— Tak jest, moja droga, jako życzliwy krewny przestrzegam cię, żebyś ostrożnie niosła koszyk. Tak drżysz jeszcze ze strachu, że gotowaś jeszcze wszystkie jajka potłuc, a wtedy musiałabyś wysłuchać porządnej bury. Daj, sam je lepiej zaniosę.

Odebrał koszyk z rąk dziewczynki, która idąc z nim razem ku domowi; pytać na nowo zaczęła:

— Ale przecież Franek boi się krowy? on tak przed nią uciekał!

— Uciekał, ale nie ze strachu — odparł Jaś, śmiejąc się — zostawił cię umyślnie w oborze, żeby zażartować sobie z małej Warszawianki. Był to figiel z jego strony, bo wiedział, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

— A gdzież on teraz się obraca? — dodała dziewczynka, oglądając się dokoła.

— Poszedł po skopek do mleka, ja także mój wziąć muszę, bo teraz pora doju krów, musimy matce pomagać.

— Jakto, wy sami te szkaradne krowy doicie — dziwiła się Kazia.

— I jak widzisz, nie zjadła nas dotąd żadna.

— Chciałabym was widzieć przy tej robocie, to tak zabawnie musi wyglądać!

— Poczekaj trochę, póki się krowy nie oswoją z twoim widokiem; ciekawe to stworzenia, za nieznanymi oglądać się zwykły i wówczas nie chcą spokojnie stać przy doju.

Musiała więc Kazia wyrzec się tej przyjemności dnia tego, tylko poszła do piwnicy gdy przyniesiono z obory mleko, i widziała jak je stryjenka cedziła, przelewała w dzieżki, a następnie zbierała śmietanę do garnka. Kiedy tak były zajęte, usłyszała naraz stukanie do drzwi frontowych; ponieważ pani Marcinowa od zajęcia swego odejść nie mogła, wysłała Kazię dowiedzieć się, kto przyszedł.

Kazia zastała przede drzwiami czarno ubraną kobietę z tak miłym, łagodnym wyrazem twarzy, że byłaby ją z ochotą jak jaką kochaną krewną w rękę pocałowała. Jej oczy pełne słodyczy, uśmiech pełen dobroci, jakąż sprzeczność stanowiły z surowem i ostrem wejrzeniem stryjenki!

— Czy jesteś siostrzenicą pani Marcinowej? — zapytała przybyłą, gładząc pieszczotliwie włosy dziewczynki, a otrzymawszy potakującą odpowiedź, dodała:

— Powiedz cioci, że ponieważ odwiedzałam jednego z chorych moich uczniów, a powrotna droga tędy mi wypadła, wstąpiłam po zamówione u niej masło, aby oszczędzić Jasiowi trudu przynoszenia go jutro.

Kazia pobiegła wypełnić zlecenie i przyniosła po chwili osetkę masła, owiniętą w czysty płócienny gałganek, za nią zaraz podążyła pani Marcinowa, rada osobiście zabrać znajomość z niedawno przybyłą w te strony, a już kochaną od uczniów nauczycielkę szkółki, panią Korecką.

Powitała ją nawet uprzejmym uśmiechem, rzadko kiedy pojawiającym się na jej twarzy.

— Słyszałam — odezwała się pani Korecka — że przybyła państwu miła dziewczeczka, to wasza synowica,

— Synowica mego męża — poprawiła pani Marcinowa.

— Czy długo u was zabawi?

— Prawdopodobnie stale, bo niema gdzie się podziać — odparła z niechęcią gospodyni domu.

— Tem lepiej dla was — mówiła nauczycielka — to jakby wam Bóg z nieba zesał córeczkę, której brakowało wam dotąd. Szczęśliwi jesteście, że możecie przygarnąć sierotę. Jakbym ja rada mieć taką dziewczynkę u siebie, przypominałaby mi utraconą niestety jedynaczkę — dorzuciła, wzrok pełen smutku i tęsknoty zwracając na Kazię.

— Ona raczej — przerwała z urazą pani Marcinowa — czuć się powinna szczęśliwą, że znalazła u nas schronienie, inaczej coby robiła sama jedna bez dachu i opieki na świecie! Marcin uparł się koniecznie wziąć do domu sierotę po stryjecznym bracie, choć my i tak mamy dosyć biedy z wychowaniem własnych dzieci, niepotrzebny nam jest ten kłopot wcale.

Biedna Kazia odczuła boleśnie niedelikatne słowa stryjenki; blada jej twarzyczka pokryła się żywym rumieńcem, i łzy stanęły jej w oczach. Niepodało się też to odezwanie pani Koreckiej; lekko brwi zmarszczyła, spojrzała ze współczuciem na dziewczynkę, następnie pocałowała ją w czoło, a skłoniwszy się ozięble pani Marcinowej, odeszła szybko i wsiadła do stojącego na drodze wózka.

Stryjenka poszła dokończyć roboty z mleczywem; przyzwawszy do pomocy Kazię, udzieliła jej kilka szczegółów o widzianej przed chwilą nauczycielce. Przysłano ją tu z dalszych stron, gdy zawakowało miejsce w sąsiedniej szkółce. Mieszkała z matką staruszką, którą utrzymywała z pracy swojej, sama zaś była wdową bezdzietną. bo, jak wspominała, jedyną jaką miała córeczkę utraciła przed kilku laty, dlatego może z taką tkliwością spoglądała na Kazię, która jej utracone dziecko przypominała. Wszyscy w okolicy prędko polubili p. Korecką, ponie-

Szarady: Mo — ty — ka.

Łamigłówniki kryształowej:

W
M a j
W i l n o
B i e l a n y
W a l l e n r o d
A p e n i n y
B a r a n
K o t
d

Łamigłówniki w kwadracie:

K a l i s z
P r e g l a
K r a s k a
S z a k a l
Ł o b z ó w
O p a t ó w

Skrzynka do listów.

Przyszłemu astronomowi. Czy na innych planetach mieszka ją ludzie, tego uczeni stanowczo rozstrzygnąć nie mogą. Wiadomo napewno, że na planetach nie mających atmosfery, jak np. na księżycu, istoty podobne do ludzi, to jest oddychające powietrzem, istnieć nie mogą. Niektórzy astronomowie przypuszczają, że na Marsie żyją ludzie, ale jest to hipoteza, czyli domniemania naukowe stanowczo nie stwierdzone. Głównym rzecznikiem tej hipotezy jest astronom francuski, Kamil Flammarion, który dość często pisuje artykuły o mieszkańcach Marsa w różnych pismach, a niewątpliwie poruszył ten przedmiot w dziele swoim: „Astronomie populaire”.

Przenumeratorkom z Ozorkowa chcielibyśmy dogodzić i przysłać żadaną komedijkę, ale nie mamy obecnie żadnej, któraby im się mogła przydać; z dawniejszych zdaje nam się najodpowiedniejszą „Grymasnica ukarana, cena jej kop. 25 bez przesyłki.

Stefanowi K. z Mławy, żądane numera dodatków posłano. Radzi jesteśmy, że was Wieczory zajmują, bardzo też pochwalamy, że w tak młodym wieku umiesz czynić dobry użytek z pieniędzy przeznaczonych na przyjemności, bo zawsze lepiej kupić sobie książkę ciekawą lub zaprenumerować pismo, niżeli te same pieniądze wydać na zabawkę, która prędko znudzi i pójdzie do kąta.

Wszyscy nowi przenumeratorzy, jak to zapowiedzieliśmy na początku roku otrzymują bezpłatnie pierwsze numera powieści „Wśród chmur i słońca”, więc i *Helence J.* wysyłamy dwa arkusze, których żąda, a o następny liścik prosimy bardzo.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek nadesłali: *Aniela R., Mania K., Wróbelka, Pszczółka z Pobereża, Roman G., Gwiazdka i Kogucik.*

Łamigłówniki do druku otrzymaliśmy od *Wróbelka, Pszczółki z Pobereża, Romana G., Zosi L. i Ignasia W.* o ile okażą się odpowiednie będą pomieszczone w Wieczorach.

waż była sumienna w pełnieniu swoich obowiązków a dbała o korzyść i zdrowie swoich uczniów. Pani Marcinowa chętnie też sprzedawała jej co tydzień osetkę świeżego masła, którą Jaś zabierał, idąc do szkoły.

Wieczereż dnia tego w domu stryjostwa spożyli wszyscy razem, potem zaraz Kazia poszła na stryszek, gdzie stało jej łóżko. Zaledwie jednak położyła się i spojrziała w okno, ujrzała tam jakąś szarawą postać z dużemi, okrągłemi oczyma, świecącemi jak u kota, zdawała się zaglądać ciekawie i chcieć się dostać do środka. Przestraszona dziewczynka zapytała stłumionym głosem: kto tam? A okropne owe widziadło; jakby ją przedrzeźniając, wołać zaczęło: hu! hu! Kazia chciała zerwać się z łóżka, biedz o pomoc do stryjenki, ale nie miała siły poruszyć się ze strachu; ukryła tylko głowę pod kołdrę, a gdy ją uchyliła i wyjrzała po chwili, przerażające zjawisko znikło bez śladu.

(d. c. n.)

SZARADA.

ułożyła Sanoczanka.

Pierwszą — mówicie zwykle mili czytelnicy

Przy powierzeniu komu ważnej tajemnicy,

Pierwsza druga — ni w białym ni w czarnym kolorze;*Druga z trzecią* — w potrzebie czasem dopomoże.*Całość* łatwo odgadnąć, nawet wielkie nieba!

Rozwiązywać jej bodaj całkiem nie potrzeba.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Lilijka.

Gd. kt. w b..dz., — t. z.r.dz.ć;

Gd. d.ć sł.w. — t. n.. zdr.dz.ć;

Str..ć ż.rt. — t. n..w.nn.,

Prz.j.ć k.g. t. g.śc.nn..

Gd. s.. br.t.ć — t. z rawn.m.;

Gd. m..ć l.t.śc — n.d b..dn.m..

Kropki zastąpić samogłoskami.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Ja
ni
so
na
ko
zi
li
na
la
da
ly
na
na
ulo
zy
c
1
2
3
4
5
6

Z sylab: Ja—ba—ka—so—wy —
ma—ni—so—na—ko—zi—li—
na—la—da—ly—na—na; ułożyć
wyrazy oznaczające: 1) Imię
żeńskie. 2) Narzędzie niezbędne
dla żeglarzy. 3) Posiadłość
angielska w pół. Ameryce. 4)

Ptaki z gromady drapieżnych. 5) Największa ryba wód
słodkich. 6) Smaczna jagoda; aby litery, oznaczone liczbami,
złożyły nazwę bogini mitologicznej.